Nr. 10. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 4 Marca 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OŁGA

księżna Ruska.

Naszkicował

ks. Lic. Cht.

Ciąg dalszy.)

IV.

Na tém tle, oświetlonem łuną ustawicznych bojów i podbojów, któreśmy tu tylko w lekkich konturach narysować mogli, wśród wyrabiania się nowego całkiém społeczeństwa z dwóch, obcych sobie pochodzeniem i zwyczajami, szczepów: Rusów i Słowian, — kiedy utrzymanie w ryzach téj luźnéj naonczas jeszcze organizacji, wymagało potężnego ramienia męża, doświadczonego radą; — występuje na jaw dziejowy niewiasta, która nie waha się na chwilę chwycić za ster ogromnego już naonczas księstwa i chociaż sama słaba — rozkazywać twardego karku poddanym. — Rządzić naonczas księstwem takiém, jakie było księstwo Igora, który sholdował był sobie tyle szczepów, pobratymczych wprawdzie, ale niemniéj przeto tęskniących zawsze do zupełnéj wolności i swobody, było zadaniem niełatwem zaprawdę.

Abyzaś ocenić całą trudność położenia Ołgi, w chwili, kiedy mąż jéj, wielki kniaź Igor, padł pod razami Drewlan w niefortunnéj Korosteńskiéj rozprawie, wystarczy tu przypomnieć, że Ołga była żoną najezdcy Warega, i że Kijów, jéj rezydencja, był świeżo dopiéro przez jéj ojca, Olega, podstępem wzięty. Chociaż więc sama słowiańskiego była pochodzenia, bo jakeśmy to mówili, wywodziła ród swój z kniaziów Pskowskich, to wszelako na szczerą sympatją słowiańskich poddanych nie wiele liczyć mogła. — Z drugiéj strony drużyna Waregów niewielką dawała bezpieczeństwa rękojmią. Bo z tego, co kronikarze ruscy o nich mówią, wnosić trzeba, że pewna ich gromada osiadła w Nowogrodzie i że z Olegiem część ich tylko wyruszyła ku południowi.

Wspomnieliśmy także i o tém, że Oleg i Igor, jego wychowaniec, powoływali na wyprawy swoje zastępy Waregów, ale były to tylko najemne włóczęgów tłumy, którym trzeba się było dobrze za usługę opłacić i które potém z łupami do dom wracały. Przy ich to pomocy opanował nieco później Włodzimirz Wielki, wnuk Olgi, Kijów, — ale jako człek przebiegły, wysłał Waregów, aby sobie sami w miejsce umówionego żołdu, łupy na Grekach zdobyli. Równocześnie jednak posłał przed nimi, jak opowiada Nestor [1]), posłów do cesarza, mówiąc: „Oto idą do ciebie Waregowie, nie trzymaj ich w grodzie, albowiem broić będą, jak tu broili, lecz porozsyłaj ich w różne strony i nie puść tu ani jednego.“ — Słowa te najlepiéj oddają to, cośmy o Waregach powiedzieć chcieli.

Z drugiéj strony i o tém przepomnieć nie można, że niewiasta, która chciała rządzić słowiańskim ludem, niezwykłą musiała być kobietą; chyba tylko potężny duch Ołgi zdołał sobie wywalczyć posłuszeństwo i uszanowanie ludu, który zawsze miał wstręt do rządów kądzieli. Bo, jak pięknie zauważył Lelewel [2]), „słowiańska rodzina była rodziną męską, niewiasta w niéj była istotą przybraną, dużo swobodną w pożyciu, ale w pieczy męskiéj: sama sobą tyle rozrządzała, ile piecza męska dopuściła.“ — Mamy też nieliczne tylko przykłady niewiast na słowiańskich tronach: naszéj Wandy, która tém właśnie okazała przywiązanie do kraju, że się utopiła — i Libuszy czeskiéj, za któréj czasów narzekano: „biada mężom, którym włada niewiasta“ [3]). U Słowian pomorskich, u Prusaków i na Litwie zabi-

[1]) Nestor p 621.
[2]) Lelewel: Polska wiek. średn. Pozn. 1851. T. I p. 67.
[3]) Palacky und Schaffarik: Aelt. Denkm. d. 6. Spr. 37.

jano owedy zbyteczną ilość nowonarodzonych niemowląt niewieścich[1]). „W Polsce, powiada Szajnocha[2]), nawet późniejszemi czasy, były kobiety jako panny i mężatki w ustawicznéj opiece, a będąc wdowami, potrzebowały kuratorów“, a po całéj Europie znany był wstręt Polaków do rządów niewieścich[3]) — i ztąd téż pochodzi ta nienawistna pamięć o każdéj z niewiast, która u nas chociaż prowizoryczne tylko, sprawowała rządy.

Z tego więc słusznie wnosić należy, że skoro Ołga objęła ster państwa, a o żadnym nie wiemy ze strony jéj poddanych oporze, musiała posiadać ten dar ducha, wyższym tylko naturom właściwy, który otoczeniu mimowiedzy i mimowoli cześć i uszanowanie nakazuje. — Zresztą i to pomogło Ołdze wiele, że jeszcze za życia męża, Igora, sprawowała rządy księstwa, a to mianowicie w czasie jego częstych wypraw, które czasami na lata się przewlekały. Jakeśmy to wyżéj wspomnieli, pierwsza wyprawa Igora na Greków trwała lat sześć; w tym więc czasie Ołga pilnowała spraw domowych i strzegła stolicy od napadu sąsiadów. Jakoż i późniéj jeszcze, w podeszłym już będąc wieku, gdy Światosław bawił na wyprawie, Ołga obroniła Kijów przeciw napadowi Pieczyngów. — Z tém wszystkiém obejmowała ster rządu tylko w imieniu małoletniego syna, i nawet na wyprawy wojenne bierze go zawsze ze sobą, chociaż małem był jeszcze pacholęciem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Vita s. Ottonis II. 2. „Et partus foemineos, quia vos mulieres necare consuevistis, diligenter enutrite.“
Dogiel: Cod. dipl. I. 18. Narbutt: Dzieje Litw. I. 273.

[2]) Szajnocha: Jadwiga i Jagiełło. Lwów 1855. T. I. p. 104. Czacki: O praw. II. 43.

[3]) Frehera Script. rer. boh. 96., Katona: Hist Crit. V. 697. „In regno Poloniae de antiqua et approbata et hactenus observata consuetudine est obtentum, quod aliqua mulier non succedit in eo.“ ibid. IX. 163.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Przemilczenie to nie było bez powodu. Pan Sebastjan Rękalski, jak nam wiadomo, liczył już trzydzieści cztery lata praktyki w archeologiczném rzemiośle i był z tego dumny, jak w ogóle dumni bywają uczeni, gdy znaczną liczbą lat życia pochlubić się mogą. Czasem nawet zastępuje im to argumenta, i nieraz zdarza się czytać w najlepszéj wierze napisane słowa jakiego pana X., że pan Y. nie może mieć racji, bo nie żyje nawet na świecie od tak dawna, od jak dawna pan X. oddaje się badaniom swojéj nauki. Otóż mając trzydzieści cztery lata praktyki archeologicznéj, pan Sebastjan mógłby bardzo z góry patrzéć na człowieka, który oddał się nauce starożytnictwa dopiero od kilku dni: uważałby siebie za majstra wiedzy starożytniczéj, a jemu nie przyznałby nawet tytułu czeladnika, lecz miałby go po prostu za terminatora i traktowałby go odpowiednio.

Przemilczenie było tedy koniecznem, a że miało wypaść nie na szkodę, ale na korzyść bliźniego, to jest nowego sąsiada, było więc nawet chwalebnem. Podstawą moralności jest: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło,“ otoż pannom Rękalskim nie byłoby bynajmniéj miło, gdyby ktoś, — naprzykład autor ninniejszéj powieści, — nie przemilczał o nich pewnéj okoliczności, naprzykład od jak dawna były pannami na wydaniu; w duchu zatem maksymy będącéj podstawą moralności, panny Rękalskie powinny były przemilczéć okoliczność, któréj wyjawienie w mniéj korzystnem świetle mogło w oczach ich ojca postawić bliźniego.

Taką kazuistyką rozgrzeszywszy sumienie, panny niecierpliwie oczekiwały powrotu pana Sebastjana, ażeby mu powiedzieć, że jeden z uczonych archeologów, nieznany w Krakowie, bo się niedawno sprowadził do tego miasta, zamieszkał pod jego dachem, i że wypada z nim zawiązać naukowe i sąsiedzkie stosunki, że jego uwagi mogą się przydać w poszukiwaniach, dotyczących owéj słynnéj siarki i szkieletu nieboszczyka smoka.

Ojciec wracał zwykle do domu po jedenastéj wieczorem, i zastawał córki pogrążone już oddawna w rozkosznych dziewiczych marzeniach. Tego dnia powracając o zwykłéj godzinie, spostrzegł wszystkie okna oświetlone i zastał wszystkie panny zajęte gorliwie pracą.

Panna Teodora czyściła naftą jego frak, panna Eleonora wywabiała gorącem żelazkiem przez bibułę, jakąś tłustę plamę, która się przypadkiem znalazła na jego białéj kamizelce, a panna Izydora prała białe rękawiczki, używane przez pana Sebastjana do solennych wystąpień, rękawiczki, które miały zaszczyt figurować na balu u prezydenta i w kilku innych ważnych w dziejach miasta okolicznościach, historyczną odegrały rolę.

— Ho! ho! panie ten, — zawołał wchodząc pan Rękalski, — a ciż to jutro nowy rok, czy pierwsze święto wielkanocy, czy bal jaki, panie ten?

— Papeczka jutro pójdzie z pierwszą wizytą, — odpowiedziała panna Iza.

— Do znakomitego archeologa, — dodała panna Teodora.

Panna Eleonora uznała także, że bez jéj odezwania się, objaśnienie udzielone przez dwie siostry nie byłoby zupełném, i zawtórowała:

— Tak, tak, papeczko!... do bardzo znakomitego archeologa, którego papeczka jeszcze nie zna.

— Którego jeszcze nie znam? — powtórzył z zadziwieniem pan Sebastjan, — ho! ho! i któż to taki, panie ten?...

— Nazywa się Józef Pilski...

— Ho! ho! Pilski... dalibóg nie słyszałem, panie ten...

— Mieszka tu w naszym domu... ale nie Krakowianin... przyjechał z Galicji...

Niejeden z czytelników nie wie może, że choć powszechnie dzisiaj Kraków z okręgiem zaliczają do Galicji, Krakowianie przecież zupełnie się nie zgadzają na tę poboczną jeografją. Wiedzą z historji, że Małopolska a Galicja to co innego, i czują się związanymi administracyjnym tylko, lecz nie naukowym podziałem państwa austro-węgierskiego. Galicja, jak powiadają, ćwierć wieku dopiéro temu przyłączono została do Krakowa, zaczyna się ona za Wisłą, na Podgórzu, okrąg zaś dawnego wolnego miasta stanowi Wielkie Księstwo Krakowskie, które dba bardzo o swoją odrębność i za nieuków uważa wszystkich, którzy mu jéj odmawiają.

— Z Galicji, panie ten... to co innego, rzekł pan Sebastjan, — galicyjskich archeologów nie wszystkich znam... Ale, panie ten, kiedy on tu do Krakowa przy-

jechał, to on powinien złożyć mi wizytę pierwszy, a nie ja jemu, panie ten.

Uwaga była słuszną, córki jednakże miały na nią zawczasu przygotowaną odpowiedź.

— On też był tutaj, — rzekła panna Iza, — ale papeczki nie zastał.

Było to znowu przemilczenie, w takim samym rodzaju, jak poprzednie, czytelnicy bowiem zbyt dobrze wiedzą, że Pilski był wprawdzie w domu archeologa, lecz jedynie za interesem, trzeba więc było przedziwnie dobréj woli, aby tę wizytę wziąć za zamiar uczczenia znakomitości pana Sebastjana.

— A kiedy tak, panie ten, to co innego, — zdecydował się pan Sebastjan, — pójdę jutro, panie ten, pójdę.

Pannom niczego więcéj nie było potrzeba, nie przeszkadzały więc ojcu udać się na spoczynek, a same bardzo pilnie kończyły przygotowanie etykietalnego stroju.

Nazajutrz po południu pan Rękalski wystrojony przez córy tak uroczyście, że mógłby się pokazać bodaj pod Baranami, a przynajmniéj gdyby się tam miał pokazać, nie byłby się wystroił lepiéj, przeszedł w poprzek przez bramę i zapukał do drzwi Pilskiego.

Odgłos kroków męzkich ostrzegł zamkniętego na zasuwkę lokatora, że to nie wizyta Kazi, poszedł więc do drzwi i otworzył.

— Jestem Sebastjan Rękalski, — zaprezentował się wchodząc, rodzic trzech cór, — gospodarz tego domu, panie ten, członek Towarzystwa naukowego, archeolog.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana dobrodzieja, — odpowiedział Pilski z ukłonem, wskazując fotel swemu gościowi. W twarzy jego widać było niejakie zdziwienie, nie mógł bowiem na żaden sposób pojąć, co mu tak zaszczytne odwiedziny sprowadza. Spostrzegł to zdziwienie i pan Rękalski, ale wziął je za zwykły objaw pełnego szacunku pomięszania, jakiém młodych pracowników nauki pierwsze zaznajomienie się z sędziwą znakomitością naukową przejmować zwykło.

Zdziwienie to zatém połechtało po sercu pana Sebastjana i bardzo przychylnie usposobiło go dla lokatora.

Winniśmy tu objaśnić, — inaczéj bowiem następna rozmowa byłaby w znacznéj części dla czytelnika niezrozumiałą, — że pan Rękalski zbyt był zajęty własnemi naukowemi poszukiwaniami, ażeby miał czas zajmować się tém, co inni uczeni, nawet w téj saméj gałęzi naukowéj, pracujący dla postępu wiedzy zrobili. Trafia się to niekiedy rozmaitym uczonym, — a uczonym w rodzaju pana Rękalskiego zawsze, — nieszczęściem nie ma zwyczaju otwarcie się do tego przyznawać w obec ludzi, więc w takiém położeniu trzeba sobie radzić, jak można.

Pan Rękalski poradził sobie w ten sposób, że zaczął wmawiać w Pilskiego, że o jego pracach naukowych wiele słyszał i zawsze cenił ich znakomitą wartość, a nawet uwagę Towarzystwa Naukowego niejednokrotnie zwracał na jego badania.

Pilski, jakkolwiek z wielu względów człowiek kwalifikujący się na bohatera powieści, nie oddawał się jednak nigdy w życiu specjalnie, ani po dyletancku żadnemu naukowemu zawodowi. Można więc sobie wystawić jego zdziwienie, gdy się nagle ujrzał awansowanym na znakomitość, gdy się dowiedział, że jego prace i jego nazwisko zwróciły na siebie uwagę Towarzystwa Naukowego. Kto inny nadąłby się, jak indyk i zadarłby głowy do góry, on nie dowierzał. Zapytał nawet pana Rękalskiego, czy się przypadkiem nie myli, czy go nie bierze za kogo innego, ale pan Sebastjan najuroczyściéj go zapewnił, że nie jest w błędzie i dodał nawet:

— Ho! ho!... to dobre!... jakżebym ja zaś mógł się omylić, panie ten?...

Jakkolwiek nie byłoby bynajmniéj dziwném, gdyby na uroczyste zaręczenie takiéj powagi, ktoś uwierzył, że jest znakomitością, bohater nasz roześmiał się tylko w duchu i pomyślał:

— Albo staruszek cokolwiek już zdziecinniał, co naturalnie wybaczyć mu należy, albo też w tym domu biorą mnie za jakiegoś znakomicie uczonego kochanka jakiéjś enigmatycznéj panny Izabelli. To qui pro quo mnie śmieszy, ale właśnie dla tego, że mnie śmieszy, po co mam wyprowadzać ich z błędu?...

W téj myśli, zaczął bez protestacji słuchać pochwał pana Sebastjana, a pan Rękalski sypał je daléj bez wszelkiego umiarkowania, powtarzając co zdanie:

— Ho! ho!... panie ten.

Nareszcie wyczerpał się cały trybularz kadzideł, którym właściciel Babiéj wyspy zwykł był okadzać wszystkie znakomitości naukowe, spotykane na drodze życia. Pan Sebastjan przestał mówić, nastąpiła chwila milczenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wypisawszy powyższy tytuł, biedziłem się właśnie nad początkiem, który jak wiadomo, wszędzie jest najtrudniejszym, tak w zawodzie literackim, jak w miłości, jak i w wielu innych rzeczach,—gdy wtem ktoś zapukał do drzwi. Gniewny, że mi znów przerywają, na wzór wielu redaktorów, upornem milczeniem chciałem zniewolić przybysza do uwolnienia mnie od swéj obecności. Daremnie — gość mój niezrażony głuchą ciszą, wytrwale domagał się wstępu. Volens, nolens otwieram — i z prawdziwą przyjemnością spostrzegam listonosza, podającego mi spory poszyt, opatrzony adresem Redakcji Tygodnika. Rzecz ta wcale nie byłaby dziwną, gdyby nie tytuł pisma, wychodzącego co kwartał we Florencji: Archivio per l'antropologia e la etnologia.

Adres polski, a jednak nie przez Polaka pisany, bo przypisek: „n a z m i a n a“ zamiast „w zamian“, widocznie znaleziony w słowniku. Rozmyślając, jakim sposobem aż z poza Alp, mimo zasp śnieżnych, przedarło się do nas poważne naukowe pismo, i śledząc za treścią, przekonałem się, że Włosi są wielkimi zwolennikami zamiany, bo i Dyrekcja narodowego muzeum antropologii we Florencji chętnie wymienia nowoczesne czaszki włoskie na jakiebądź obce, nowoczesne, czy starożytne. Podając tę nowinę do wiadomości naszych kraneologów, proponujemy im, ażeby do czaszek, które wyślą do Włoch, nie zapomnieli dołączyć kilku czerepów tych biedaków z Przemysławowego grodu, co to ostatniemi dniami pozbyli się mózgu; bliższych szczegółów tego smutnego faktu opisywać nie będę — bo najprzód u nas nietylko n o m i n a, lecz często i f a c t a sunt odiosa — a nadto sprawa ta, choć literackich głów dotyczy, więcéj jest polityczną, niż literacką...

* * *

Daruje nam uczony współpracownik wspomnianego co dopiero pisma, prof. Giglioli, że zamiast obznajamiać czytelników naszych z obszerną, a ciekawą jego rozprawą o Tasmanianach, którzy w walkach o niepodległość, toczonych z Europejczykami, wyginęli do szczętu — pomówimy raczéj o bliżéj nas obchodzącéj, a świeżo wydanéj książeczce, zawierającéj cenną mowę

rektora uniwersytetu, Józefa Kremera: „O zadaniu młodzieży polskiéj, kształcącéj się w uniwersytecie Jagiellońskim.“ Szanowny mówca podawszy różnicę, zachodzącą między gimnazjum a uniwersytetem, mówi o obowiązkach akademika w ogóle, a następnie akademika-Polaka — o sposobach nabywania umiejętności — o sławnych mężach, którzy wyszli z Jagiellońskiéj wszechnicy — w końcu przemawia do słuchaczy każdego fakultetu w szczególności. Piękne a jędrne słowa zasłużonego rektora powinny znaleść odgłos w sercu każdego polskiego akademika. W obec realistycznego kierunku dzisiejszéj młodzieży zasługują one na tem większą uwagę:

„Biada atoli tym, którzy wstępując do Uniwersytetu, jedynie i wyłącznie mają przyszły z nauk zarobek na myśli, którzy uczęszczając na wykłady, zmierzają wyłącznie, jak się to mówi, ad panem lucrandum, ad Martham alendam. Są to owe przekupnie i handlarze, którzy frymarczą w przybytku Pańskim, a których Chrystus wypędził z Bożego domu.“

Sądzę również, że nam ogół publiczności wdzięcznym będzie za wyjątek z przemówienia podeszłego rektora do słuchaczy wydziału teologicznego. Ustęp ten dajemy bez komentarza, bo obecne wypadki aż nadto go tłomaczą:

„Otóż kapłanów zadaniem jest, by strzegąc świętego ognia wiary, miłowali i tę prawdę, która z umiejętności i nauk płynie, boć i ta prawda jest Bożéj mądrości wyrazem. Bądźcież więc zasiewcami Bożego słowa, ale to w tym duchu, jak to czynił mistrz nasz Chrystus, Miłości Bóg. Miéjcie na sercu, iż cięższą, niż najjaskrawsza książka anti-religijna, wyrządza krzywdę kościołowi owa tak nieszczęsna a niestety, tak nierzadka żarliwość zaprawiona goryczą i żółcią. Miejcie na sercu Chrystusa, i tę w Jego nauczaniu niebiańską słodycz i bez granic nadziemską dobroć. Pamiętajcie, że miłość jest wszechmocną potęgą, bo Bóg chrześciański jest miłości Bogiem.“

* * *

Pan Dembiński sobotnim benefisem usprawiedliwił zupełnie powszechne oczekiwania. Przedstawienie było urozmaicone i doborowe. „Litwa“ ustęp z Pieśni o Ziemi naszéj, zatytułowanéj wielkiem dziełem muzycznem — „Sen wygnańca“ — „Wiesław“ operetka narodowa i „Biała Kamelja“, komedyjka, złożyły się na bardzo zajmujący wieczór. Niemało przyczynili się do uświetnienia reprezentacji p. Stysiński i dziarcy amatorowie.

W środę, dn. 8 b. m. przypada benefis ulubionego artysty, p. Kalicińskiego, który wybrał sobie i publiczności jeden z najpiękniejszych dramatów Korzeniowskiego p. t. Mnich.

Bodajby się jak najprędzéj sprawdziła wieść o przybyciu do Poznania na gościnne występy znanego i u nas, słynnego artysty teatrów warszawskich, co jest tem bardziéj pożądane, że jak się dowiadujemy z żalem, dwóch utalentowanych artystów, opuszcza w tych dniach poznańską scenę.

* * *

W czwartek, dnia 23 p. m. zakończył szereg prelekcji, urządzonych na cel dobroczynny w Bazarze, p. dr. Warnka, a już w poniedziałek tegoż samego tygodnia, a więc na trzy dni przedtem rozpoczął odczyty w lokalu Tow. przemysłowego jeden z nauczycieli szkoły agronomicznéj Żabikowskiéj, p. Kudełka, na cel również dobroczynny, bo na dochód téjże szkoły. W ostatni poniedziałek, 27 p. m. mówił p. Urbanowski o gazie; podawszy historyczny przebieg tego wynalazku i sposób przyrządzania gazowego światła, wskazał, jak się z niem obchodzić należy, i urozmaicił wykład kilku szczęśliwemi doświadczeniami. Podczas zapust mieliśmy tedy prelekcje przeważnie historyczne i literackie, w czasie postu mieć będziem więcéj przemysłowe i ekonomiczne. Odczyt dra. Warnki: O Stefanie Szehenyim łączył gruntowną znajomość historji z żywością przedstawienia rzeczy. Publiczność z niezwykłem zajęciem słuchała dramatycznego opowiadania ustępu dziejów Węgierskich — a opuszczała salę z żalem, że nie tak prędko znów usłyszy ulubionego prelegenta.

* * *

Mam wielką ochotę, szanowna publiczności, popisać się przed tobą przedrukowaniem wonnego liściku, odebranego świeżo od pewnéj arcydowcipnéj pani. Okrasiłby on niewątpliwie dzisiejszą kronikę, bo obok wyższego humoru odznacza się i myślą piękną — i napisany po polsku....

— Czemuż go więc nie umieszczasz, nudny kronikarzu? zapyta niejeden, ciekawy panieńskich liścików.

Otóż czynię to dla tego, że nie chcę się narazić na gniew Redakcji Tygodnika, która z zasady polemiki osobistéj nie podejmuje, a łaskawa nasza Korespondentka gromi, choć słusznie, pewną osobistość, zbyt mało mające wpływu, ażeby komukolwiek szkodzić mogła. Zostawmy ją więc w pokoju! Przyznajemy, że ten ktoś byłby nierównie lepiéj sobie postąpił, gdyby w sferach, w których się obraca, poważniejsze i szlachetniejsze rozbudzał myśli, zamiast „jak zakrystjan chodzić z kadzielnicą i odurzać jéj dymem właścicielki różyczek, kokardek, zielonych paletocików i niebieskich welonów“ — ależ różne są gusta — a prawo wolności osobistéj nie dozwala narzucać nikomu własnego zdania... Niechciałbym też iść za przykładem kronikarza Dziennika Pozn., który gniewa się na kolegę z Tygodn. Wielkop., że go wyprzedził i zużył kwestją listów tak, że on nie może już powtórzyć: „Ogromny stos listów leży przede mną“. Nie biorę za złe szan. koledze, że chorując na brak treści, nie zupełnie jest wolnym od uczucia zazdrości — a na dowód przyjaznego z méj strony usposobienia, gotowem mu część odebranych liścików odstąpić — ażeby nie potrzebował tak szeroko i z taką crudycją pisać o bezimienności, chcąc podać wierszyk, wystosowany przez „polską dziewicę“ do „młodego śpiewaka“ — ażeby daléj nie potrzebował maskować ubóstwa treści szumnemi a wyrwanemi na ślepy traf z tekstu nadpisami, jak: „Rozwarte przyłbice, Schlachtenbumblery, Extrablatt, Patron, Pokusa, Tajemni, Harmonja, Ferment i t. p.“

Uporawszy się tak z urzędowym kronikarzem Dziennika Europejskiego, upraszamy szanowną autorkę wspomnianego listu, by niezrażona jego niezadowoleniem — i nadal zechciała nas obdarzać swemi uwagami.

* * *

W niniejszéj kronice z przeproszeniem cnego kolegi jeden tylko list jeszcze przytoczym — a mianowicie z Ostrowa. Korespondent nasz z tego miasta pocieszającą nadsyła nam wiadomość. Ostrów nazwany już przez germańskich w przeważnéj liczbie mieszkańców „niemieckim“ — daje głośny znak życia zawiązaniem Towarzystwa przemysłowego:

„Dnia 22 b. m. (lutego) wieczorem o godzinie 8 w lokalu p. Urbańskiego zagaił p. J. Bronikowski posiedzenie, złożone z 47 członków, przemową, w któréj treściwemi słowy rozwinął zadanie i cel Towarzystwa, które sobie postawiło za godło: oświatę, postęp i pracę. Wykazawszy konieczną potrzebę działania wspólnemi siłami w obec wrogiego obozu, zawezwał mówca zgromadzonych do rozpoczęcia wstępnych czynności, i wniósł o wybranie Zarządu. Ułożywszy część statutów wedle wzoru Tow. Młod. Przemysłowców w Poznaniu, zgodzono się na odbywanie posiedzeń tygodniowych co wtorek. Członkowie złożyli Towarzystwu w darze kilka czasopism, a mianowicie: Dziennik Poznański, Tydzień, Tygodnik Wielkopolski, Gwiazdkę Cieszyńską, Mrówkę, Przyjaciela ludu itd. Do dnia zawiązania Towarzystwa, zgłosiło się przeszło 80 członków.“

Korespondent malując dość ciemnemi barwy stan

materjalny i umysłowy polskiéj ludności miasta, twierdzi, że przyczyną tego upadku był dotychczasowy brak Towarzystwa Przemysłowego. Wedle słów jego pomimo ciągłego wzrostu miasta, polscy mieszkańcy wcale nie postępują naprzód; przeciwnie rugowani przez innoplemieńców, dziś n. p. ani jednéj już kamienicy na rynku nie mają w swych rękach. Cały handel polski miasteczka ogranicza się na kilku sklepach korzennych — nie ma ani jednego handlu żelaza, galanterji itd. itd. Słowa te można by zastosować do wielu innych miasteczek, ba i po części do samego Poznania, w którym jeden jedyny polski zakład fotograficzny Hoffa był przywiedziony do upadku. Obecnie na jego miejscu osiadł zdolny fotograf z Warszawy, p. E. Rembecki, który już zakład swój ozdobił piękną wystawą, zawierającą między innemi kopje obrazów Matejki, Grottgera, Simmlera itd.

Korespondencje: Z Berlina. Z Warszawy.

Berlin 20 lutego.

Chociaż korespondencje do Waszego pisma winny być właściwie sprawozdaniami z umysłowego ruchu, chociaż już i w pierwszéj korespondencji od zadania tego odbiegłem zupełnie, nie mogę się i dzisiaj silnéj oprzeć pokusie, która mnie znowu nakłania do podobnego zboczenia. Jeżeli szczupłe ramy zezwolą, podam Wam, jako bakalje, kilka poglądów na najnowsze płody niemieckiego piśmiennictwa; tymczasem znowu nakreślę obrazek mniéj może stosowny, więcéj zajmujący. Chcę mówić o Polakach, bawiących w Berlinie. Polak, to nierzadkie na bruku berlińskim zjawisko, język polski bardzo często obija się tutaj o uszy. Niejeden zapewne z niedoświadczonych, który, chcąc obcym językiem w publicznėm miejscu zwrócić na siebie uwagę, głośno mówić zaczął po polsku, ze zdziwieniem przekonać się musiał, iż usiłowania jego żadnego prawie nie odniosły skutku; zaledwie Spieszbürger jaki raczył spojrzeć na niego i zjadliwie pomruknąć: „ein Pole“. Mój Boże! — w Chinach nieomal nic łatwiejszego, jak spotkać Polaka, — a cóż dopiero w Berlinie! — Berlińczycy przyzwyczaili się do nas. Niewiele tu wprawdzie rodzin polskich, stałe mających mieszkanie, gdyż Berlin nie jest miejscem spoczynku i miłéj rozrywki, lecz natomiast, prócz zjeżdżającego od czasu do czasu — niestety! tak szczupłego grona posłów, niemało tutaj polskiéj młodzieży, niemało polskich przemysłowców. — Młodzież polska, zwiedzająca berlińskie zakłady naukowe, nie jest jeszcze wcale najgorszą. Pracuje ona wprawdzie nie tak skrzętnie, nie tak gorliwie, jakby od Polaków zwłaszcza żądać tego można, lecz zawsze nie zaniedbuje nauki. Berliński uniwersytet corocznie kilku wydaje Polaków, którzy filozoficzne, prawne lub medyczne pokończywszy studja, przepisane poskładają egzamina; akademja budownicza i przemysłowa nie mniéj zdolnych i wykształconych dostarcza nam rodaków. Pod względem koleżeńskiego pożycia niejedno można by zarzucić młodzieży. Prawda, iż zakradła się w jéj grono dziwna sztywność i etykietalność, która przy wspólnych nawet uroczystościach objawia się dosyć niemile, iż brak znacznéj części owych młodzieńczych zapałów, szlachetnych porywów, które urok młodości stanowią,— ale przykre te objawy łatwo uniewinnić i wytłomaczyć można. W zakładach berlińskich spotyka się młodzież z rozmaitych dzielnic dawnéj Polski, z dzielnic, które w trzy różne wcielone organizmy, w trzech różnych żyjąc sferach, różne mając warunki bytu, pomimo dążenia do jedności, nie rozumieją się wzajem i obcémi poniekąd stały się względem siebie; ztąd owa sztywność, owa etykietalność między młodzieżą, z tąd owo rozbicie na kółka. Spotykamy się wprawdzie, staramy się złączyć, na mocy jednych pragnień, jednych nadziei i pamiątek, ale rozdział polityczny przytłumił w naszych sercach braterską serdeczność i ufność. Dziwią się nad tém starsi, którzy lepsze pamiętają czasy, w których się wszyscy tak serdecznie, tak szczerze witali, jakgdyby do jednego należeli ogniska, dziwią się, nie pomnąc, iż przez lat tych kilkadziesiąt wiele przykrych nastąpiło wypadków, które temperaturę serc naszych znów o stopni kilka zniżyły. Młodzież nasza nie jest idealną, nie jest młodzieżą z czasów Mickiewicza, na twarzach jéj nienaturalna powaga, w głowach rachunek, w sercach chłód obojętny; prawda to, — ale spojrzymy w okół siebie, — jakaż dziś do idealizmu podnieta? W takich stosunkach lepiéj zapewne przyzwyczajać się od młodości do téj zimnéj rachuby, która światem dzisiaj kieruje, i rozumem przytłumiać zawczasu to serce, które nas już niejednokrotnie do przykrych doprowadziło zawodów. — Młodzież nasza posiada w Berlinie własne towarzystwo naukowe. Towarzystwo to o tyle ma wartość, o ile jest łącznikiem młodzieży, wyrazem szlachetnych dążności; pod względem naukowym działalność jego równa się zeru. A można by i w tym kierunku coś zrobić pomimo licznych trudności, można by dać jakiś znak istnienia i pracy. Towarzystwo niemieckie, z uczniów akademji budowniczéj złożone, corocznie wydaje całe album rysunków, towarzystwo uczniów szkoły przemysłowéj („die Hütte“) wydało podręcznik nauk przemysłu dotyczących, który wielkie zyskawszy uznanie, już ósmego doczekał się wydania. Czemużby i polskie towarzystwo naukowe akademickie podobnémi nie miało się zająć pracami? Tłomaczenia znakomitszych podręczników naukowych zyskałyby z pewnością nakładzców i pewną ilość odbiorców, a młodzież nasza, nie przeszkadzając zbytnio swym studjom, mogłaby obznajmić się z naukową polskiego języka terminologją, wystawiłaby piękne gorliwości swojéj świadectwa i piśmiennictwu niejedną oddaćby mogła usługę. Trzebaby wprawdzie w tym celu polepszyć skromną bibljotekę, zawiązać stosunki ze znakomitszymi na polu nauk rodakami, słowem trzebaby niemałą zadać sobie pracę, ale od czegoż w młodzieży ambicja, zapał i wola? —

Smutny do dzisiaj obraz przedstawia nam stan klasy przemysłowéj polskiéj w Berlinie. A klasa ta jest wcale niemałą; liczy bowiem, jak nam z wiarogodnego wiadomo źródła, około pięciu tysięcy głów, rozumie się, przeważnie płci męzkiéj. Przemysłowców większych, zamożniejszych, nie wielu osiada w Berlinie, większość składa się z uboższych rzemieślników, z wyrobników najemnych, którzy przynęceni korzyściami, jakie wielkie miasto klasom pracującym daje, bądź to stale, bądź to na czas pewien szukają tu pracy i zarobku. Rzemieślnik taki przybywa zazwyczaj do Berlina bez żadnéj niemieckiego języka znajomości, ale w krótkim czasie, obcując tylko z Niemcami, nietylko znajomości języka nabierze, ale nawet, szczególnéj przez związki rodzinne, zrośnie się z żywiołem niemieckim, zapomni mowy ojczystéj, zapomni, że był kiedyś Polakiem. Przemiana ta jest niesłychanie szybką i gruntowną; w przeciągu pięciu lat następuje u ludzi do téj klasy należących germanizacja zupełna; Niemców, którzy polskie noszą nazwiska, których przodkowie widocznie polskiego byli pochodzenia, na dziesiątki tysięcy liczyć dziś można w Berlinie. Jaka ztąd szkoda dla kraju, szczególniéj dla Księztwa wynika, — nad tém słów tracić nie warto. W celu zapobieżenia więc dalszéj germanizacji téj klasy Polaków w Berlinie, założono tutaj przed laty pięciu mniéj więcéj, Towarzystwo polskich przemy-

słowców. Towarzystwo to ma ważne i trudne niezmierne zadanie. Jako towarzystwo przemysłowe nasamprzód powinno się starać o dobrobyt, a szczególniéj przemysłowe wykształcenie członków swoich, jako towarzystwo polskie powinno nieść ratunek zagrożonemu germanizacją polskiemu żywiołowi, powinno te jednostki, które z drugiéj strony z niemczyzną tak silnémi i różnorodnémi złączone są węzłami, skupiać, jednoczyć, ożywiać i krzepić duchem polskim, otoczyć silną, nierozerwalną atmosferą polską. Wpływ towarzystwa na członków powinien silniejszym być od wpływów rodziny, interesów, przyjaźni i znajomości, silniejszym od tych wpływów, których uniknąć niepodobieństwem jest dla jednostki, a które zwolna do zupełnego prowadzą zniemczenia. Jak wielkiéj potrzeba żywotności i siły, aby zadaniu temu godnie odpowiedziéć, dla każdego zapewne jest jasnem. Trzy główne potrzeba zbudować magnesy, któreby na jednostkach wywrzeć mogły stanowczą siłę przyciągającą. Potrzeba nasamprzód, aby towarzystwo odpowiedziało wszelkim materjalnym potrzebom swych członków. Interes, to węzeł najsilniejszy, potrzeba go użyć koniecznie; wszelkie inne, zwłaszcza w klasie przemysłowców, nie wystarczą nigdy bez niego. Dopóki bowiem tylko przemysłowiec polski wśród Niemców znajdzie pieniężne poparcie, dopóty zawsze ku nim przechylać się będzie, uważając towarzystwo polskie jedynie za prostą rozrywkę, za kółko, w którém sobie raz w tydzień w polskim można pogawędzić języku, ale nigdy za punkt centralny działania swego i życia, za skarbnicę szczęścia i dobra. A cóż tu mówić dopiero o tych tysiącach wyrobników polskich, o naszych poczciwych Maciejach i Kubach, którzy idąc za pracą i zarobkiem, przywędrowali do Berlina, którzy zarobku tylko pragną, którzy służą każdemu, którzy stosują się do każdego, kto im tylko zarobić pozwoli na życie, nie troszcząc się, czy to Palak, czy Niemiec. Mnóstwo tu takich przy wszelkich znajdujesz budowlach; zachęć ich do uczęszczania do Towarzystwa, a zapytają cię z pewnością, jak i nas zapytywali już nieraz: „A czy nam tam dadzą co, panie?“ Towarzystwo o téj klasie, chociaż nie należącéj ściśle do przemysłowców, powinno zawsze pamiętać, przyciągnąć ją i otoczyć opieką, gdyż ta klasa najwięcéj potrzebuje wszechstronnéj opieki. Ale gdzie dla niéj niema korzyści, zarobku, tam jéj przyciągnąć nie można. — Towarzystwo przemysłowców polskich w Berlinie powinno być daléj źródłem oświaty, — oświaty przemysłowéj i polskiéj, czuwać nad tém, aby członkowie pod względem umysłowym nietylko ogólne, ale i szczegółowe, fachowe odnosić mogli korzyści, czuwać nad tém przedewszystkiem, aby nie zapomnieli mowy ojczystéj, aby jéj nie spaczyli niemieckim językiem. Towarzystwo powinno się wreszcie postarać i o stosowną rozrywkę dla członków; z większym to bowiem będzie dla polskości przemysłowców pożytkiem, jeżeli po pracy całodziennéj w polskim kółku przyjemny znajdą wypoczynek. —

Oto w głównych skreślone zarysach, obowiązki Towarzystwa polskich przemysłowców w Berlinie. Czy Towarzystwo godnie im odpowiedziało? — zobaczymy. Towarzystwo liczy dzisiaj po pięcioletniém istnieniu, z owych tysięcy żyjących w Berlinie polskich rzemieślników i wyrobników, około dwustu członków, przeważnie rzemieślników starszych, zamożniejszych, posiada szczupłą biblioteczkę i majątku dwieście talarów. Już to samo dostateczną na postawione pytanie zdaje się być odpowiedzią. Wykazać nam tylko wypada, dla czego Towarzystwo po pięcioletniéj pracy do tak małego doszło rezultatu. Po prostu dla tego, iż Towarzystwo nie umiało w sposób należyty zbudować owych trzech magnesów, bez których nigdy nie odpowie swemu zadaniu. — Towarzystwo nie posiada żadnéj, dosłownie żadnéj instytucji, która dobrém materjalném członków zająćby się mogła; nic więc dziwnego, iż ów tysiąc drobnych rzemieślniczków, uczniów i wyrobników, o zarobku tylko myślących, nie zajmuje się wcale towarzystwem; członkami ci tylko być mogą, co posiadając jaki taki mająteczek, płacić składki i opłaty zdołają. — Co do drugiego punktu postarało się wprawdzie Towarzystwo o książki, dzienniki, odczyty, ale z książek połowa dla klasy przemysłowéj całkiém jest niestosowną, a odczyty w ostatnich zwłaszcza czasach, idą bardzo leniwo i chybiają celu zupełnie; panowie akademicy, jako goście, z każdego pola nauki miewają uczone wykłady, bez ładu, bez systemu, bez korzyści dla słuchającéj publiki, która często, jak na chińskiém siedzi kazaniu. Czyż więc dziwić się można, iż niejeden i pod tym względem nie widząc w Towarzystwie pożytku, nie myśli się wpisać na członka? — Trzeciemu natomiast zadaniu odpowiedziało Towarzystwo świetnemi prawdziwie rezultatami. Utworzono w łonie Towarzystwa resursę polską, która w czas karnawału co drugi czwartek szumne wyprawiała wieczory, raz nawet wystąpiła z wielkim balem, w czasie postu przedstawienie teatralne, koncerta urządzić zamierza, a w lecie zapewne majówki, sielankowe za miasto wyprawy. — „Ha, już i nasi rzemieślnicy bawić się tylko umieją!“ powie zapewne czytelnik, ubolewając nad tym brakiem proporcji pomiędzy zabawą i pracą. Ubolewanie to byłoby niesłusznem po części; bo chociaż zabawy te odbywają się pod firmą przemysłowego towarzystwa, przemysłowcy jednakże w małéj tylko części udział w nich biorą; akademicy prawie główną są ich podporą. Zabawy te rozmiarami swemi i charakterem nie odpowiadają wcale warunkom, w jakich żyją przemysłowcy; żądać od nich, aby się do zabaw tych zastosowali, jest rzeczą zupełnie przewrotną; we wyborze zabaw przeciwnie i w urządzeniu tychże zastosować się winno Towarzystwo do stosunków i potrzeb téj klasy, dla któréj są głównie urządzone. A więc i w urządzeniu zabawy Towarzystwo chybiło zadania. — Ale w chwili, w któréj do Was piszę, nadzieja lepszéj, korzystniejszéj pracy budzić się zaczyna w łonie Towarzystwa. Pracuje ono tymczasem nad założeniem przytułku dla przybywających ubogich polskich przemysłowców; jestto pierwszy, ważniejszy krok w życiu Towarzystwa, życzyć sobie należy, aby zamiar ten szczęśliwie przyszedł do skutku i był pierwszym szczeblem do coraz wyższych i ważniejszych prac prowadzącym. Towarzystwo powinno następnie założyć kasę pożyczkową; zwabi ona z pewnością wielką liczbę członków, i majątek Towarzystwa pomnoży tak bardzo, iż na téj podstawie cały szereg zbawiennych instytucji w życie będzie można wprowadzić. Kasę dla chorych, dla pozostałych po członkach wdów ubogich i sierót, obszerną i stosowną bibliotekę, systematyczne wykłady z dziedziny przemysłu i dziejów polskich, wreszcie szkółkę dla dzieci polskich przemysłowców, instytucją ważną niezmiernie, bo zapobiegającą germanizacji młodych pokoleń. Życzymy Towarzystwu dobréj woli, rozsądku, pracy i wytrwałości, — a rozwój jego i wielka korzyść dla kraju zapewnioną będzie w przyszłości. —

„A baklje?“, zapyta czytelnik, „a rozbiór płodów najnowszych literatury niemieckiéj?“ — Wybacz, łaskawy czytelniku, — obrazek mój, chociaż niezupełny, nadto wielkie przybrał rozmiary, a gościnności Tygodnika nie wolno nadużywać niegrzecznie. W następnéj korespondencji trzymać się będę właściwego mojego zadania, o ile siły zezwolą i materjału starczy, tymczasem do zobaczenia!

Warszawa 20 lutego.

Jesteście pismem literackiem i naukowem. Wszystko więc, co duch polski stworzy nowego, żywe w was musi budzić zajęcie. Niemniéj jednak i inne objawy tego ducha, niekoniecznie w posuwaniu nauki naprzód, ale w jéj rozpowszechnianiu np., nie powinny ujść baczności waszego śledzenia. Owo rozpowszechnianie nauki u nas

zaczęło się niedawno za pomocą odczytów publicznych. Niedawno powiadamy, chwycono się tego dzielnego środka szerzenia oświaty, a już go zdepopularyzowano do szczętu. Ale pragnąc zdać sprawę z odczytów tegorocznych, nie mogę się wdawać w jeremiady na osoby, które najnieszczęśliwiéj się wziąwszy do ich urządzenia, zabiły je raczéj w zarodku zamiast się przyczynić do ich rozwoju.

Najprzód musimy zwrócić uwagę, że tego roku gorączka odczytowa nieco osłabła; pochodzić to może z rozmaitych przyczyn — najważniejszą jest pono brak prelegentów, bo co tylko zdolniejszego, niechciałaby występować w jednéj grupie z miernemi często, a co gorsza ograniczonemi osobistościami. Towarzystwu dobroczynności należy się zasługa zabicia odczytów. Zeszłego roku jacyś panowie Parczewscy i Czyńscy nudzili śmiertelnie publiczność tak dziwacznością poglądów, śmiesznością paradoksów, jakoteż brakiem gruntownéj wiedzy. Obecnie w czasie karnawału odczyty Towarzystwa zeszły do bardzo małéj liczby. Rozpoczął je p. J. M. Kamiński wykładając swym słuchaczom, jak należy uczyć czytać podług metody tak zwanéj doraźnego czytania. Możnaby przebaczyć panu Kamińskiemu wybór suchego przedmiotu ze względu na jego ważność. Prelegent wywiązał się nieźle z zadania jako mówca, bo styl ma gładki i potoczysty, wysłowienie się łatwe. Mówił po nim pan Szeler o zębach, ale powtórzył prawie to samo, cośmy słyszeli roku zeszłego. O innych dotąd nie słychać. — Drugą instytucją, która urządziła u siebie odczyty, jest zakład pani Wandy Szmitowéj dla kobiet. Tylko płeć piękna korzysta z nauki tam wykładanéj. Usiłowania są szczere i godne poparcia. Ponieważ prelegenci przedsiębiorą wykład całkowitego kursu, pożytek niewątpliwy prędzéj czy późniéj, okazać się winien. Szkoda, że pani Marczewska podjęła się odczytu o żywocie wielkiego Kopernika, nic prawie o nim nie mówiąc. Piękny temat mógł dać komu innemu pole do rozwinięcia zasług naszego znakomitego rodaka; przepadło. Już roku przeszłego pani Marczewska odczytem p. t. Kobieta kobietą przekonała nas, że dla niéj właściwszą byłaby może kazalnica, niżeli katedra. Pani Ćwierciakiewicz znowu, czytając o gospodarswie domowem, zupełnie zapomniała, iż ono nie składa się wyłącznie z wydziału kuchennego.

Nakoniec zdobyto się na odczyty w sali stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania Mojżeszowego. Ostatnie mogłyby mieć najwięcéj szans powodzenia, gdyby nie kilku młodzieńców, posiadających może najlepsze chęci, ale nie mających ani nauki, ani tego wszystkiego, co jest nieuniknione przy wystąpieniu publicznem. Dotychczas szala równoważy się. Panowie: Wajnberg, Sulimierski i Dziewulski, ciekawe wybrali przedmioty i dowiedli, że podejmując się rozpowszechnienia nauki, znają ją i wiedzą, jakie trudności pokonać należy. Natomiast szereg innych prelegentów, jakoto: pp: Sunderland, Goldszmit, Sobolewski, Szenman, na to chyba wystąpił, aby na zawsze zdyskredytować odczyty popularne. Najprzód, żaden z tych panów nie umie mówić, cóż dopiero, mówić popularnie. Zasoby wiedzy u nich bardzo szczupłe, a pretensje, jak się pokazało w odczytach, ogromne. Ani jeden z tych czterech panów nie posiada ni organu, ni wymowy, odpowiedniéj do wystąpienia publicznie. Żal ściska serce, że ludzie, których krytyka nasza zbyt jeszcze łagodnie sądzi, odważają się na wypowiadanie profesorskim tonem rzeczy, na których dokładne zbadanie dość nawet czasu nie mieli. Jeżeli był czas, nie było talentu ani zdolności, a gdzie nawet zdolności się znalazły, tam zabrakło pracy. Jeszcze raz powtarzamy, że smutno pomyśleć o tych prelekcjach; kiedy u was czytają Libelty, Kraszewscy i. t. d., u nas réj wodzą tacy panowie Sunderlandy, Sobolewscy i Szenmany. Piszemy to dlatego, aby i u nas nakoniec ster prelekcji objęli ludzie poważéj nauki i prawdziwego talentu. Jeżeli nastąpi zmiana, doniosę wam o tem w przyszłym liście. Σ.

Głos kapłana w sprawie budowy teatru polskiego w Poznaniu*).

Pochop do uwag kilku następnych dał podpisanemu artykuł w nr. 44 Dziennika Poznańskiego: „W sprawie budowy teatru polskiego w Poznaniu“, mianowicie zaś ustęp ostatni odnoszący się wprost do duchowieństwa Wielkopolskiego, któremu Dzien. Pozn. przypisuje „usuwanie się dobrowolne czy wymuszone“, a które następnie pytaniem retorycznie postawioném zachęca albo raczéj pobudza do składek i podpisywania akcji, przywołując na pamięć, że „naród polski nie szczędził ofiar na rzecz kościoła i duchowieństwa.“

Sprawa ta niezawodnie wymaga objaśnienia, tém bardziéj, że prócz Dziennika i Toruńskiéj, żadne inne pismo nasze nie zajmuje się tą kwestją. A przecież ignorowaniem i zamilczaniem nikt żadnéj sprawy nie rozwiąże — ani jéj nie usunie. Ma kwestja teatru Poznańskiego dwie strony: narodową i moralną. O pierwszéj narodowéj mówić nie potrzeba; rozprawiano już dosyć o tém na różnych miejscach. Kto czuje się i zna siebie patrjotą szczérym, nie kosmopolitą, łatwo zrozumie tę stronę kwestji. Inna jest rzecz, strona moralna, która istotą swoją sięga głębiéj, aniżeli się zdaje na pozór. Napomknął już o tém recenzent teatru poznańskiego w Tygodniku Wielkopolskim „Rz.“ w nr. 7, gdzie każdy Polak trzeźwo zapatrujący się na sprawę a bez uprzedzenia, łatwo poznać i przewidzieć może, jak zgubne skutki wyniknąć mogą z teatru, mijającego się z swym celem a nieopartego na zasadach moralności. Nie o język tylko tam chodzi, ani o samo ratowanie tradycji, literatury, ale chodzi o „obyczaj publiczny i prywatny, o siłę moralną narodową, która jak wiadomo (za mało, niestety!), zależy znowu od moralności jednostek.

Dotarliśmy do jądra kwestji: czyli przyszły teatr polski w Poznaniu ma być teatrem, jakim go chce mieć komitet Poznański, t. j. instytucją, któraby „zachowała nam język, tradycje, literaturę i obyczaj publiczny i prywatny w imię wszystkich cnót narodowych?“ czyli téż ma być „świątynią Bogini Knidejskiéj, Cypryjskiéj“, szkołą dla młodzieży Poznańskiéj emancypowania się z pod władzy przepisów katechizmowych, a dla panien i córek polskich nauką, jako się pozbyć najłatwiéj zwyczajów i obyczajów społecznych dotąd używanych, a stanowiących podwalinę rodziny i narodu?

Czyli ma przyszły teatr polski pomnożyć nam liczbę „młodzieży złotéj“, dostarczyć jéj materjałów nowych a świeżych do orgji i bachanaljów?

Czyli ma uzupełnić teatr prymanerom i sekundanerom poznańskim to, czego im niedostaje z czytania klasyków Owidjusza, Virgila, Horacego i Homera? lub czyli ma teatr poznański być illustracją żywą dla młodzieży dzisiejszéj, rozmarzonéj i nagniłéj moralnie czytaniem ro-

*) Nie godząc się na wszystkie zdania szanownego kapłana, umieszczamy je dla wszechstronnego ocenienia sprawy. W najbliższych numerach podamy artykuł o znaczeniu teatru, którego autor z odmiennego stanowiska zapatruje się na kwestją teatralną.
(Przyp. Red. Tyg. Wielkop.)

mansów i romansideł? Czyli teatrem tego rodzaju, zabawami takiemi zamierzamy rzeczywiście podnieść naród lub w czémkolwiek przysłużyć się sprawie narodowéj?

Tak się przysłużyli Polsce Moskale, którzy aby poniżyć i pohańbić rdzeń narodu i nadzieję jego, używali wszelkich środków niegodziwych, aby zdemoralizować młodzież, a przez nią przyszłość narodu. Tak przynajmniéj donosiły i głoszą pisma o epoce przed ostatniém powstaniem.

Czém demoralizował Francją Napoleon III, czém zamierzał wygasić w narodzie wszelką myśl wyższą — wolności, swobody i moralności? — Jestto sprawa zbyt świeża, byście już zapomnieć o niéj mogli.

Jeżeli tedy ludzie, pomni tego wszystkiego, coby mogło być, a co już zaczyna być w teatrze polskim poznańskim, jeżeli tacy potrząsając głową i nie dowierzając, podejrzywają dobroć i skuteczność sprawy, a tém samém ściskają pięść w kieszeniach, któż się temu dziwować będzie zbytecznie? A jeżeli do tego przystąpi jeszcze zawiść osobista, brak poczucia narodowego, skrupuł religijny nieuzasadniony, niechęć jednych, a „obawa narażenia się na różnorodne szykany i nieprzyjemności“ u innych, wtedy jasno nam będzie, dla czego sprawa budowy i akcji tak żółwim postępuje krokiem, dla czego usuwa się osób tyle, zwłaszcza ze stanów tych, któreby materjalnie najwięcéj może przyczynić się mogły.

Otóż zdaje się, że wyjaśnienie nauki kościelnéj o teatrach, usunąć może skrupuły niewczesne; co więcéj, przeprowadzenie ścisłe w praktyce zasad nauki katolickiéj nada teatrowi podstawy silne, niewzruszone.

Jakaż tedy jest nauka kościoła w tym względzie? Nie szukając daleko, weźmy do ręki pierwszy lepszy podręcznik teologji moralnéj, n. p. Compendium theologiae moralis Gury'go, **Societatis Jesu**, profesora w Collegium Romanum, a więc powagę niewątpliwą, autora zasad niepodejrzanych, (którego zresztą używano przez wiele lat w seminarjach Poznańskiém i Gnieźnieńskiém. W traktacie o cnotach, mówi on o teatrze (§. 233 de spectaculis), jak następuje:

„Spectacula per se non sunt mala, nec proinde illicita, nulli enim legi, nec naturali. nec positivae sive divinae, sive humanae, adversantur. Unde, si res turpes in eis non repraesentarentur, et aliunde abessent circumstantiae libidinis fomentum praebentes, nullatenus reprobandae forent (Ita communiter).“ Co znaczy dosłownie:

„Widowiska same przez się nie są niczém złém, a ztąd też nie mogą być zakazane; gdyż nie sprzeciwiają się żadnemu prawu, ani przyrodzonemu, ani pozytywnemu, czyto Boskiemu czy téż ludzkiemu. Z téj przyczyny, jeżeli nie przedstawiają na nich rzeczy ochydnych, lub téż jeżeli zkądinąd usunięto z nich okoliczności, mogące dostarczać podniety zmysłowości, żadną miarą nie mogą być potępione.“ Na tę zasadę ogólną zgadzają się wszyscy w ogóle teolodzy, jak powiada X. Gury (Ita communiter, a na ich czele Ś. Tomasz z Akwinu).

Ażeby sprawę objaśnić wszechstronnie, dodaję jeszcze i drugą zasadę, którą umieszcza Gury bezpośrednio po słowach już przytoczonych:

„Widowiska, na których przedstawiają sceny widocznie znacznie brzydkie (res notabiliter turpes), albo na których występują osoby płci obojéj w ubiorach widocznie (znacznie) nieprzystojnych (notabiliter indecentes) zakazane są pod grzechem ciężkim, (graviter illicita sunt) tak dla aktorów, jako i widzów, „przynajmniéj mówiąc w ogóle“ (saltem generatim loquendo).

W końcu jeszcze przytacza Gury zdania dwóch teologów: Holzmana i La Croix, twierdzących, że śmiertelnie grzeszą ci wszyscy, co pieniędzmi lub oklaskami przyczyniają się a tém samém stawają się winnymi przedstawień znacznie i oczywiście gorszących (notabiliter turpes); a nawet ci, którzy z obowiązku winni zapobiegać takim widowiskom, a nie czynią tego; w większéj zaś mierze jeszcze stawają się winnymi sami aktorowie.

Takie są mniéjwięcéj ogólne zasady kościoła, na mocy których żaden człowiek bezstronny nie będzie śmiał wnioskować, jakoby budowa teatru Poznańskiego mogła mieć przeciwników w katolikach szczerych, prawowiernych, lub księżach — ze zasady przynajmniéj. A przeto nie cofać się od téj kwestji, nie pomijać jéj milczeniem, ironją, wzdryganiem ramion, ale podjąć ją należy wam, Polacy katolicy, całemi siłami — wspólnemi barkami — a potém ugruntować ją na fundamencie zasad najpierw moralnych, a potém narodowych. Wtedy zaiste nie będziecie mieli przyczyny lękać się o to, aby synowie i córki wasze nie wynosiły z pod dachu sceuicznego zgorszenia i zasad luźnych. Będzie może sarkał Epikurejczyk jeden lub drugi na moralność wygórowaną, na nudne przedstawienia, na brak interesu, na brak dowcipów dwuznacznych, mało słonych dla spalonego podniebienia; wszakże, na Boga, nie bądźmy pessymistami do tyla, byśmy dla drobnéj garstki ludzi zepsutych, młodzieniaszków źle wychowanych, mieli porzucać zamiar, który przeprowadzony wmyśl większości narodu może mieć rzeczywiste za sobą korzyści i narodowe i moralne, może zostać rzeczywiście ową „arką przymierza“, chowającą w sobie i moralność dawną i język i pamiątki inne narodowe.

Tak jest: od nas to, od nas samych, zależy wartość moralna przyszłego teatru; jeżeli część społeczności naszéj katolicka się usunie, wtedy nam zagraża ta smutna perspektywa, że ludzie mniejszości uwziąwszy się na to, postawią mimo tego teatr, i urządzą go w guście swoim. Sapienti sat!

Dla tego nie ociągajcie się dłużéj Panowie, podpisujcie akcje jak najliczniéj, gdyż takim sposobem wy sami nabędziecie prawa urządzenia teatru ku korzyści rzeczywistéj narodu, a uchylicie z drugiéj strony niebezpieczeństwo i zagładę moralną.

Będąc właścicielami akcji, wybierać możecie komitet ciągły teatralny, który czuwać będzie nad moralnością sceny i samychże aktorów. Horrendum! zakrzyknie tu niejeden liberał maskowany. Wszakże to jest pewną, że jeżeli instytucja ta ma odpowiedzieć warunkom moralności, wtedy komitet czyli raczéj akcjonarjusze pominąwszy wszelkie względy, przedewszystkiém winni żądać środków prewencyjnych, ażeby do repertoaru nie wkradły się żadne dramata lub sceny treści gorszącéj. Równie téż baczyć należy i na to, ażeby artystki były rzeczywiście kapłankami teatru, a nie kapłankami „świątyni Knidejskiéj.“

W końcu na zachętę dla ludzi dobréj woli, a umysłu nieuprzedzonego podaję słowa Ś. Tomasza z Akwinu, który 2. 2ae qu. 168 art. 3. ad 3um mówi między innemi:

„Unde, qui moderate eis (scil. histrionibus) subveniunt, non peccant, sed juste faciunt, mercedem ministerii eorum eis tribuendo.“

Dla tego ci, którzy przychodzą w pomoc onymże (t. j. aktorom, a w przypadku obecnym można to zastosować spokojném sumieniem do budowy teatru, rozumie się w zgodzie ze zasadami katolickiemi) w sposób umiarkowany (moderate), nie grzeszą, lecz postępują słusznie, opłacają bowiem ich trudy.“

X. X.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Halszka z Ostroga.

„W świecie artystycznéj produkcyi, w świecie literackiego ruchu który tak harmonijnie bije w takt tętnu życia narodowego, a często jego przyszłe przetworzenia uprzedza, niejeden tego przyszłego zwrotu zjawia się wróżbita. Oddalającą się od nas przeszłość, niedawno jeszcze odzianą w aureolę poezyi lub historyi o walczących ze sobą ideach, z których jednę szczególną ukochaliśmy miłością, zatrzymujemy w biegu i pytamy o tajemnicze cienie jéj — zabieramy się skrzętnie do bolesnéj naszego upadku diagnozy; a jakkolwiek rezultata naszych badań sprzecznemi być mogą, odpychają one na zawsze czasy poetycznych marzeń i teoretycznych ogólników, a zbliżają czas owego oparcia się o przeszłość, owego pojęcia się w logicznéj z nią konsekwencyi. Raz potrącony kierunek badawczy dobije się śmiało do dni naszych, a pokolenia przyszłe, jeżeli przyjmą pracę literatury trzeźwą i krytyczną, jak dawne śmiałe i podniosłe przyjmowały jéj loty, jeżeli ją nie będą chciały mieć Kassandrą, wołającą wśród niewiernych, kamienowaną przez namiętnych, urosną na téj gorzkiéj i pożywnéj strawie, zdolne przenieść, co nas jeszcze czeka, zdolne zachować i rozmnożyć, co nam pozostało, zdolne chwycić w lot opatrznościową chwilę, któréj nam Bóg nie skąpi.

Epoka ta przyszła, którą marzymy, epoka wytrwałego wyznawstwa myśli i tradycyi narodowéj, skrzętnego ratowania i przechowywania spuścizny naszéj, zgodnego zszeregowania zdziesiątkowanych pod sztandarem namaszczonéj pracy, epoka daleka zarówno od bojaźliwéj nieufności, jak od rezykowań w imię rozpaczy, doktryny lub wybujałych uczuć indywidualnych, stawiająca spokój męża i sumienie męża burzom przyszłości, nie pozostanie bez wtóru poezyi.

Znajdzie się w duszy pokolenia forma odpowiednia nowemu zwrotowi jego myśli i ideałów, nie sięgająca wyżyn lirycznych, ani rozkoszująca w zblakłych obrazach minionych epopei, nie szermująca uczuciem zamkniętym w uciśnionéj piersi, ale dźwigająca się z jego głębin, nakształt dłoni gotowéj do ustawnego czynu pracy. Urodziny téj nowéj formy ani tak śmiałe i niespodziewane jak poprzedniczek, ani tak łatwo uznane i z zapałem przyjęte. Jak wszędzie: długie walki o doskonałość, o stworzenie arcydzieła, walki w których niepostrzeżone niejedno zginie usiłowanie, niejedna natchniona złamie się dusza, poprzedzić muszą wspaniały dramatu narodowego owoc, potrzebujący zbiegu licznych przyjaznych okoliczności, nadewszystko zaś nowego gruntu w społeczeństwie.

Walczyć mu przychodzi z poprzedniczkami jego w dziedzinie poezyi, lirą i epopeją, nęcącemi tyloma wdziękami, nęcącemi scisłym zwiazkiem swoim z narodową duszą. Tylko abnegacyą od ich powabów, tylko panowaniem nad uczuciem i obrazowością stanąć on może, nakładając jak mąż wędzidła woli polotowi fantazyi i uczucia, przenikając każdą postać okiem sędziego, grotem sumienia. Obejść mu się przychodzi bez malowniczego tła natury, bez przepychu i wystawności historycznego obrazu — rzecz to reżysera i dekoratora, aby go w przyzwoitą ubrano sukienkę — poprzestać on musi na charakterach, wolnych od amplifikacyi i zewnętrzności epopei, chwyconych w najkrytyczniejszych chwilach żywota, odsłoniętych do najgłębszych tajników duszy. I oto, jeżeli je weźmie z przeszłości naszéj, ciężką przeszkodą stanie się dlań liryzm narodowy, skłonny zarówno do apoteozy, jak potępienia, niechętny łamaniu pieczęci grobowych, a skłonny do wywoływania pięknych ale często złudnych fantazmatów przeszłości....

Z drugiéj stsony wypada dramatowi narodowemu stanąć na wyżynie dzisiejszéj sztuki, odp wiedzieć wymogom, jakie obeznana z utworami mistrzów zagranicznych publiczność stawiać ma prawo. Wypada mu stanąć w gotowości przedstawienia scenicznego, którego próbę przejść winien każdy utwór dramatyczny. Winien on posiąść te wszystkie tajemnice, które sprawiają pożądane na widzu wrażenie, które go przenoszą od razu w świat złudzeń, każą mu zapomnieć, że deski nie są ziemią... W posiadaniu tych wszystkich warunków, wprowadzony na scenę, odnosi on dopiéro tryumf i skutek zupełny, okazuje się najdoskonalszą poezyi formą, stojącą na szczycie poetycznego tworzenia. Już nie w postaci oddalonego od słuchaczy wieszczą aureolą liryka, już nie w postaci śpiewającego na grobach bajarza — staje poeta dramatyczny przed społeczeństwem swojém: nie ma on przywileju, nie ma szaty czarodzieja na sobie: każdy patrzy i sądzi, każdy mierzy jego postacie własném, ludzkiém poczuciem i doświadczeniem: aby zwyciężył, potrzeba mu zadosyć uczynić warunkom rzeczywistości, zadosyć czyniąc warunkom piękna i sztuki; potrzeba mu zapanować wszechwładnie nad umysłem widza i słuchacza, nie potęgą indywidualizmu, ale potęgą zwalczonych i przetrawionych wrażeń, nie bogactwem obrazów, ale trafnością w ich wyborze.

Kreśląc te kilka słów o zadaniu dramatycznego pisarza, chcieliśmy czytelnikowi wdrożyć przekonanie, że pojmując je bardzo poważnie, znamy własne niedostatki. Synowi przejściowéj epoki, przyszło nam walczyć z wybujałością form dawnych, marząc o przyszłéj, dramatycznéj; przyszło nam puszczać się śladami obcych mistrzów, nie zapominając o polskim ideale; przyszło nam dzieje ojczyste wdrażać w nową formę przedstawienia, w któréj tak mało się pojawiały. Ktokolwiek pierwsze wydania naszych prac z obecném porówna, przekona się, że czas i studyum niejednę stanowczą wniosło zmianę, że przedstawienia sceniczne niejedném zbogaciły nas doświadczeniem. Pomimo tego pojmujemy usiłowania nasze na tym polu, złożone w niniejszéj seryi, tylko za szczere i sumienne szukanie drogi ku dramatowi polskiemu; pojmujemy je jako szereg budowli, torujących drogę nowemu stylowi poezyi. Śmielsza przyszłość wystrzelić może gmachem, który je w cieniu pozostawi: nam pozostanie zasługa, żeśmy chwile natchnień naszych spożytkować chcieli nie w daremnym naśladownictwie mistrzów naszych liry i epopei, ale w walce o nową formę ideału, w usiłowaniach około dostarczenia scenie naszéj sztuk oryginalnych, z dziejowych wziętéj przeszłości.“

Powyższe ustępy, wyjęte s przedmowy Szujskiego do piérwszéj seryji jego dramatów (1867), napisane ze znaną skromnością, jaka tego autora cechuje, dają nam równocześnie tak krótki pogląd na obecny stan literatury dramatycznéj, jak poniekąd i miarę do ocenienia wartości własnych Szujskiego utworów. Jileż to już nie wydano sądów o tym biédnym dramacie polskim — jileż jeszcze dziś nie prorokują o jego przyszłości! Opierając się na przeważnie lirycznéj i powieściowo-epicznéj dotąd poezyji naszéj, ci odmawiają Polakom zgoła dramatycznych zdolności; tamci przypuszczają, jak i Szujski, że jeszcze epoka dramatu dla nas nie nadeszła, że odgrywająca się nieustannie narodowa tragiedyja, w gorączkowym umysły trzymając natężeniu, nie dopuszcza spokojnego zastanowienia się, jakim się sztukmistrz przy tworzeniu dzieła powodować winien; jinni składają winę na to, że czyste pod względem obyczaju karty historyji

naszéj nie dostarczają odpowiedniéj treści. Wszyscy mają poniekąd słuszność, ale i wszyscy błądzą, gdy sąd ryczałtem wydają. Proroctwa podobne, jak wszystkie proroctwa śmiertelników, mogą się sprawdzić, mogą i nie sprawdzić; ostatecznie rozstrzygnie przyszłość, kto lepiéj zgadywał. Prawdę mówiąc, nie stoji nam na przeszkodzie ani nasz charakter narodowy, bo gdzież w Angliji przed Szekspirem, w Hiszpaniji przed Kalderonem, we Francyji przed Rasynem, w Niemczech przed Szyllerem pojawiło się coś godnego wzmianki na polu dramatu? Nie stoją na przeszkodzie ani orężne zapasy i nieszczęścia nasze, bo przeciwnie, one to wywołały u nas całą literaturę romantyczną; one wydały Brodzińskich, Niemcewiczów, Mickiewiczów, Krasińskich, Słowackich, Ujejskich i jinnych. Nie możemy téż zasłaniać się ani brakiem materyji w przeszłości naszéj historycznéj, bo coby na to powiedzieli Szekspir, Corneille, Racine, Szyller, Göthe, Lessing, Byron, których utwory, napisane na tle dziejów zagranicznych, bynajmniéj nie ustępują tym co na swojskim oparły się gruncie? Brak nam po prostu Dominików Magnuszewskich, brak narodowego wychówania, bo młodzież dzisiejsza, obcą karmiona literaturą, własnych zaś wcale nie znająca dziejów, nie wié ostatecznie, skąd czerpać poetyczne natchnienie. Brak nam zaś najgłówniéj dobréj sceny polskiéj, którąby dla piszących od dawna była podnietą, dla początkujących zaś wzorem i szkołą. A w końcu: zniewieściałość wieku, rozmiękczone wygodami nerwy, niezdolne wytrzymać ognia ożywiającego wielkie wady ale i wielkie cnoty dziejowe. Zdobędą się one co najwyżéj na mgliste obrazy historyczne lub obyczajowe, na zimne panoramy lub wreszcie fotografijie epok już minionych, ale nie stworzą nic takiego, coby żywo stanęło przed oczy, coby widza uniosło i porwało w ten właśnie kraj ułudy, jakiego Szujski w dramacie wymaga.

Zacny ten i skromny autor przeczuł sam dobrze, jile jego własne utwory są warte. Pełno tam szlachetnego ciepła, pełno myśli poczciwych; jest w nich i kraju i cnoty miłość; jest senat i palestra, i szkoła i wojna, i dyplomacyja i miłość; są dowody gruntownego obeznania się z materyjałem, są i chwile szczęśliwe, unoszące słuchacza w lata minionéj przyszłości; ale to wszystko, jak słusznie sam o sobie mówi, utwory po wielkiéj części z góry skazane na zapomnienie, bo chociaż nie zupełnie martwe na świat się rodziły, ale chodzą po nim wątłe, mgliste, niepewne, chwiejne, jakoby cienia na polach elizejskich, fata morgana rzeczywistości, ociężałe i senne,

Jak te posępne mary, które bojaźń naszą
Widzi w bezsennéj nocy — poranek rozprasza, —

Ten brak jasności i przezroczystości charakterów, ten brak środka, ogniska, s którego nici dramatu się snują, i do którego wszystkie nawracać się winy, najwyraźniéj się objawia w grze samych artystów. Weźmy jaką chcemy rolę, a w żadnéj nieomal nie znajdziemy tych kilku śmiałych rysów pędzla, tych kilku niezbędnie koniecznych uderzeń i dłuta i młota, które całéj postaci nadają charakter odrębny, pewny, wybitny. Artyści występujący w dramatach Szujskiego są nieomal pod wpływem jakiego niewidzialnego fatum; czują, że nie są samymi sobą; nie mogą żadnéj rozwinąć samodzielności; chodzą i mówią, jakby nimi ukryte kierowały nici — nici które mistrz zatrzymał w dłoni — których tajemnicy nie powierzył nikomu, jakby nie chciał ostatniego dopowiedzieć słowa. Na przedstawieniach więc takich i duszno i tęskno; chcielibyśmy niejako nalegać i nękać: czemuż wy bohatyrowie tak mówiąc, milczycie, tak działając, przyciągacie sobie wodze; czy zazdrościcie nam obrazów minionéj przeszłości? — Może mi słów brak na oddanie tego dostatecznie, co drzymie na dnie uczucia, możem niejedno i nieco mocniéj powiedział, jakby należało, ale takie jest w przybliżeniu wrażenie osobiste, wyniesione s przedstawień Twardowskiego, i Zborowskich, i Halszki z Ostroga, choć w nich najlepsi nasi artyści występowali.

Widz każdy, gdy jest na przedstawieniu dramatu historycznego, pyta oczywiście, jile w nim mieści się prawdy; pyta, czy te pięknie streszczone charaktery i sytuacyje jistotnie są historycznemi, czy téż tylko na tle historycznym osnutnemi ideałami, a jeżeli tak, to widz chce sobie zdać sprawę i rozsądzić, czy mistrz wybrał najszczęśliwszą chwilę wypadku, najpiękniejszą stronę charakterów, czy też może chybił pod jednym i pod drugim względem.

Żeby się o tym przekonać, najlepiéj pociągnąć parallelę między Halszką historyczną a Halszką Szujskiego.

Halszka, czyli Elżbieta dziejowa, córka Eliasza (Iliji) i Beaty s Kościeleckich, Książąt Ostrogskich, traci ojca i dostaje się pod opiekę stryja Wasyla. Do téj opieki jednakże ma prawo i król Zygmunt, jako W. Książę Litewski, mocą statutu litewskiego.

Opieka taka mogła Zygmuntowi posłużyć do celów politycznych, bo Halszka była jedną z najbogatszych dziedziczek na Litwie. Z licznego grona litewskich, polskich i zagranicznych zalotników, s których na bliższą uwagę zasługują Dymitr Książę Sanguszko, Dymitr Książę Wiśniowiecki i Piotr, syn Marcina Zborowskiego, żaden nie potrafił ująć serca sieroty, skąd wynikło, że się stała nieszczęśliwą ofiarą frymarki tych, co ją otaczali. Przyszło do tego, że stryj Wasyl, nie chcąc, by majątek poszedł w nielitewskie ręce, obiecał Halszkę Sanguszce; a gdy Beata na to przystać nie chciała, najechał z wybrańcem swojim zamek ostrogski i dziewczynę gwałtem powiódł do ołtarza.

Beata pojechała do Krakowa ze skargą i zyskała wyrok skazujący Sanguszkę na infamiją, który to wyrok ogłosił Radziwiłł Czarny. Sanguszko uciekł do Czech, lecz Marcin Zborowski, który chciał syna z Halszką ożenić, dognał go w Nimburgu i zabił. Halszka wróciła do matki, i nowe się o nią zaczynają konszachty. Zborowski pewien, że Beata jest jego synowi przychylną, stara się o to, by zjednać sobie Wasyla, ale Zygmunt August młodego Zborowskiego jako wichrzyciela nie lubi, a swata Łukasza Górkę, wojewodę brzeskokujawskiego. Jak stryj tak i matka opierają się królowi, ale nic to nie pomaga i pod nieobecność matki Górka Halszkę porywa. Beata na sejmie litewskim zanosi protest przeciwko postępowaniu króla i przeciw małżeństwu, w skutek czego opuszcza Halszka męża dobrowolnie i przyłącza się do protestacyji. Król teraz w kłopocie: Górce oddać Halszki nie może; boji się, by matka jéj za kogo innego nie wydała; trzyma ją więc przy Bonie i siostrach. Po wyjeździe Bony widzim Halszkę z Beatą we Lwowie w klasztorze. Król nadaremnie namawia Beatę do uległości; ostatecznie na jego rozkaz starosta lwowski oblega klasztor, by z niego uwieźć nieszczęśliwą Elżbietę. Gdy oblężone niewiasty spostrzegły, że opór zbrojny na nic się nie przyda, postarały się o to, że kniaź Siemion Olelkowicz, starzec w wieku bardzo podeszłym, jako żebrak przedarł się do klasztoru i wziął z Halszką ślub — teraz już trzeci. — Ale i ten ślub nie pomógł; starosta klasztor zdobył, i Halszkę Górce do Szamotuł odstawił. Tu w wieży osadzona, pędzi dni smutne, i po dziesięcioletniéj, rzec można, niewoli, kończy w pomięszaniu zmysłów. Wszelkie starania matki, żeby córkę z rąk Górki wydobyć prawnie, a nawet wykupić za 100,000 złotych, były nadaremne. Matka córkę przeżyła i po jéj śmierci poszła za Olbrychta Łaskiego, mając lat przeszło 50.

Treść Halszki Szujskiego wcale odmienna. Sanguszko nie jest jéj tu obojętnym, ale ponieważ matka nie zezwala na zamężcie, a co gorsza, ponieważ stryj wraz z oblubieńcem gwałtem Ostróg zdobyli, żeby Górkę uprzedzić (który wtedy, nawiasem mówiąc, o Halszkę się

jeszcze nie starał), więc córka przysięga przed matką, że nigdy Dymitrowi żoną nie będzie. Gwałtem do Czech wywieziona, coraz mocniéj przywięzuje się do męża, i teraz dopiéro nad tym zaboleje, że tak straszną związała się przysięgą. Beata udaje się do króla. Król zwołuje sąd; wyrok zapada ten sam, lecz wygłasza go Zborowski, i to nibyć bez osobistego interesu. Bezinteresownie, rzekomo s czystéj miłości prawa i w obronie cnoty niewieściéj, goni on za Sanguszką i w Czechach go dopędza. Teraz poeta na szczęśliwy wpadł pomysł. Jim więcéj Halszka zaczyna czuć przywiązania do męża, jim gwałtowniéj tłoczy ją ciężar przysięgi, tym bardziéj zbliża się ostatnia jéj męża godzina. W chwili gdy wypowiedziała piérwsze miłości słowo, Zborowski wchodzi i zabija Dymitra. Nieutulona w żalu Elżbieta przywozi zwłoki męża do Ostroga, a gdy nieczuła matka nawet ostatniéj posługi mężowi oddać nie pozwala, lecz ponownie do zamężcia z Górką ją nakłania, Halszka za pomocą stryja bierze ślub z Siemionem.

Nie ma więc w Halce Szujskiego nic więcéj historycznéj prawdy, jak tożsamość osób; stosunki wcale tu różne. Czy to oddalenie się od prawdy dziejowéj jest s korzyścią dla sztuki? Zapewne; bo s całego wątka życia nieszczęśliwéj niewiasty ten piérwszy peryjod jest poniekąd najpoetyczniejszym. Poczytywalibyśmy tylko p. Szujskiemu to za błąd, że nie szedł za wzorem Przeździeckiego, i nie skończył na zabójstwie Dymitra, s którym właściwy dramat ustaje i że charaktery zbyt ponaciągał do swych celów artystycznych i etycznych. Zborowski, w rzeczywistości samolub, tu występuje jako obrońca cnoty i prawa, a jednak nie waha się, jak awanturnik jaki, gonić w obce kraje, by zabić uwodziciela. Kto mu dał do tego prawo? Sprawiedliwość skazywała Dymitra na wygnanie, i więcéj od stróża praw nie wymagała; szacunek dla praw obcego kraju powinien go był wstrzymać od popełnienia morderstwa na ziemi czeskiéj. Ten Zborowski Szujskiego jest więc obłudnikiem i zbrodniarzem. Król w dramacie jego jest panem sprawiedliwym i pragnącym zgody Litwy s Koroną, do czego znacznie Halszka z Górką rzekomo ma dopomódz; ale ten co kochał Barbarę, co kiedyś sam czuł głęboko tortury tajemnego małżeństwa, co niedawno walczył s całym narodem na sejmie piotrkowskim i wolał złożyć koronę, jak żony odstąpić, co niedawno stracił tę uchochaną Barbarę, powinien był mniéj miéć na oku widoki polityczne, a więcéj liczyć się ze sercem, i po ślubie, zamiast matki, Halszki się zapytać, jak sądzi postępek Dymitra.

Charakter Beaty w sztuce jest całkiem zagadkowy, bo nie wiadomo, jakie sprężyny kierują jéj krokami. Jeżeli namowy i prośby króla, to król nie mógł być sędzią we własnéj sprawie, a własną jego poniekąd sprawą było ściganie Sanguszki, gdyż posądzać go można, że dla tego tylko ścigał Dymitra, że tenże Górce przeszkadzał.

Przeprowadzenie sceniczne w ogólności dobre; dyalog prawie zawsze ożywiony, uwaga widza natężona do samego końca aktu IV; ale tu po spuszczeniu kurtyny publiczność zwykle zabiéra się do domu, i musi ją dopiéro ktoś ze sceny zatrzymać wołając, że jeszcze nie koniec. Wielki ten błąd, który chyba cechę oryginalności ma po sobie, popełnił Szujski i w Zborowskich. Błąd to rzeczywisty, bo przez niego ginie jedność akcyji. Jeżeli Dymitr sztuki bohatyrem, to z jego śmiercią wszystko się kończy; jeżeli zaś Halszka jest piérwszą osobą dramatu, to Szujski zadał gwałt warunkom Arystotelesowym, bo w 2 i 3 i 4 akcie publiczność więcéj zajmuje się losem Dymitra, jak Halszki, teraz już zamężnéj. A daléj, Beata, nie uląkszy się szwagra i Dymitra razem, tym mniéj zapewne się zgodzi na zamęzcię s Siemionem, mając po sobie może nawet kanoniczne przeszkody.

Z gry nie można było być zupełnie zadowolnionym. Halszka (p. Nowakowska) zdradzała zbyt widocznie przyzwyczajenie do lekkiéj komedyji francuzkiéj, ale mimo to trzymała berło i wodze sceny w swym ręku. Dymitr (p. Cezar) s początku mocno zakłopotaną miał minę, lecz jim daléj tym śmieléj się poruszał, i mimo słabo nakreślonego przez autora charakteru, umiał pozyskać współczucie widza. Zdaje nam się wszakże, że jak na kniazia zbyt skromnie był ubrany. Beata (pani Doroszyńska) nie dosyć imponowała postawą ni głosem; nie widać po niéj było dumy Kościeleckich, i zaciętość jéj więcéj chorobliwą była jak silną. Wasyl (p. Konarski) naśladował dość wiernie kozacką buńczuczność, ale nie oddał nam téj pańskiéj buty kniazia wojownika.

W pobocznych rolach, p. Dobrzański i p. Zboiński korzystnie się wydali na scenie. P. Köhler w roli Łukasza Górki wystąpił w Poznaniu po raz drugi. Wszelkie horoskopy zawodzą, ale p. Köhler ciężką ma przed sobą drogę. Nie odmawiamy mu dobrego zrozumienia rzeczy, nie bierzemy mu za złe, że jeszcze nie nabrał odpowiedniéj postawy ni ruchów, ale bez cierpliwości Demostenesa nie zrobi karyjery artystycznéj. Głos p. Köhlera jest tak słabym i grobowym, że najpiękniéj wypracowana deklamacyja jego rozwiewa się w mgłę, zanim ucha widzów dobieży. Nie porwał więc p. Köhler publiczności ani jako Łukasz Górka, ani jako Tarło w Zofiji Morsztynównie. — (Rz.)

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Ciąg dalszy.)

Przed sobą mieliśmy grzbiet skalisty, jakby wał zasłaniający nam stokowisko pod Krzyżnem i Buczynowemi Turniami. Gdyśmy tę zaporę minęli, ukazał nam się przestwór dzikszy od poprzednio opisanego, górny koniec doliny Pańszczycy (5498'). Turnie jakby niebotyczne zamykają świat naokół, cisza głucha nie mąci wrażenia, jakie wywiera dzika natura, gdzie oprócz nagich skał i zlodowaciałych śniegów nic nie ma. Niespodziewanie rozweseliło nas w tém pustkowiu spotkanie stada owiec z pasterzami. Świst juhasów, brzęk dzwonków, ruch naraz wielu istót żywych uprzyjemnił nam chwilę naszego tu pobytu. Widne ztąd dobrze usypisko, wiodące na przełączkę od wschodu wydało nam się najdogodniejszą drogą do wydrapania się na grzbiet, i ku niemu skierowaliśmy nasze kroki. Po kilku znacznych płatach śniegu, koło wielkiego głazu, który mi przewodnik przedstawił jako kolibę, t. j. schronienie jakie takie w razie ulewy lub koniecznego noclegu pod wyżłobionym z natury złomem wielkim granitu, szliśmy wprost do stóp żlebu kamienistego. Było wpół do 11 godziny, gdyśmy się spinać poczęli. Nieznośny to kawałek drogi, powtórzenie Zawratu w zupełności. Trzy kwadranse czasu zeszło, zanim w ukos w lewo, w prawo drapiąc się po usypujących się kamieniach, dosięgliśmy szczytu, raczéj grzbietu przełęczy. Ta część drogi upoważnia wycieczkę na Krzyżne do policzenia jéj w szereg trudniejszych wypraw tatrzańskich dla ogółu podróżnych.

Widok nagle się roztwierający z grzbietu staje za sutą nagrodę dotychczasowych trudów, lecz bliskość celu, kilkadziesiąt kroków od niego nie pozwala się zatrzymywać poniżéj Krzyżnego. Po chwili stanąłem na upragnioném miejscu.

Krzyżne, rozległa równinka (6846') na zetknięciu się trzech wyniosłych szczytów, Wielkiéj Koszystéj (7047'), Wołoszyna (6894') i Buczynowych Turni panuje okolicy i użycza widoku, może w całém paśmie Tatr jedynego z powodu wyjątkowego swego położenia we wnętrzu gór. Usiadłem na krawędzi nieco wyżéj należącéj już do Wołoszyna; brakowało pół godziny do południa, zatém znaczniéj tu wcześniéj przybyłem, niż inni goście, zdążający tu nie wiem dla czego dopiero koło 2 godziny. Pod jednym względem cel mój był osiągnięty.

Czas miałem prawdziwie dziwny, szczególny; natura przedstawiała mi się w najromantyczniejszéj szacie, nie podobna określić wrażeń, jakie wywierała na mnie nawykłym do kaprysów pogody w górach. Pod stopami świat niknął mi gdzieś w mgle, z niéj wychylały się szczyty skaliste, wiatr jakby z otchłani wypędzał w górę chmury, które się targały o turnie, odsłaniając coraz to nowe widoki, jakby czarodziejską siłą poprzed oczy przesuwane. Człowiek uczepiony na wierzchu olbrzymiéj skały, stawał się proszkiem, nicością w obec potęgi żywiołów. Cóż to za moc skały! która tysiące lat opiera się nawałom burzy i stercząc dumnie naigrawa się z ich wściekłości. Ponad turniami Spiskiemi, koło Mięguszowskiego Wierchu srożyła się burza straszna, ciągnąca się w kierunku z zachodu na wschód od Krywania ku Lodowemu szczytowi. Huk straszliwy rozlegał się po Tatrach, wicher świszczał, roztrącając się o turnie, grubemi kroplami dészcz począł padać na Krzyżném, podczas gdy w dolinach koło Krywania słońce świeciło. Z kierunku wiatru wróżyłem sobie nadzieję uniknięcia burzy i tém się pocieszając, z chciwością wpatrywałam się w cudowny świat Boży, z natężoną uwagą, by z niego nic nie uronić.

Mgła na szczytach, to największy wróg podróżnego, i jéj się szczerze obawiać przychodzi, a wybierając z dwojga złego, lepsza burza niż mgła, bo prędko przemija. Ciągle mię straszyła obawa mgły, lecz przeciw niéj stawał mi za przymierzeńca silny wiatr, który zdzierał nieznośną zasłonę z gór, a wypędzał ją z dolin. Chwilami mogłem się łudzić, że się znajduję w nadpowietrznym świecie, tak obłoki spodem odcinały obszar gór od ziemi, czyniąc z nich wyspę nadpowietrzną, lecz mimo tego cudownego uroku wolałbym był mieć czystą atmosferę, a przez to swobodę patrzenia w każdę stronę i nieskłopotaną myśl o powrót. Śledząc, rzekłbym ukradkiem zakątek, jaki mi się w któréj szczęśliwéj stronie odkrył, spostrzegłam w głębi od południa dolinę Roztokę, jéj dnem snuł się jak srebrna wstęga potok, który co dopiero ze Stawu Wielkiego uszedłszy huczał i szumiał, tocząc się gwałtownie po skale trzema strumieniami i spieniony dobiegał mety u spodu olbrzymiego progu. Jest on ścianą doliny Pięciu Stawów, a potok po niéj spływający słynny tworzy wodospad Siklawą zwany. Próg ów, raczéj skała 204' wysoka, z Krzyżnego nabiera pozoru lekkiéj pochyłości, bo punkt jéj widzenia z przodu łudzi oko, a przez to i Siklawa nie wydaje się wodospadem.

Powyżéj czernią się stawy barwą swéj powierzchni przypominiające morze, bo głębiny wód nadają im granatowy aż do czarności dochodzący kolor. Widać stawów cztery, najdaléj Czarny (22 morg. 1077°□), bliżéj nas Wielki (60 morg. 840°□), a na przodzie Przedni (13 morg. 595°□), pośród nich Mały zaledwie widzialny z Krzyżnego, piąty zaś kryje się za turniami Koziego Wierzchu od zachodu. Od południa dolinę Pięciu Stawów okalają góry Miedziane (7133'), od północy turnia Koziego Wierzchu i Buczynowe, od zachodu niski grzbiet zwany Gładkiém przedzielający dolinę Pięciu Stawów od doliny Wierchcichy, na wschód jest wyłom do Roztoki. Ponad tém otoczeniem piętrzą się dalsze wierchy różnych kształtów, z któremi zapoznawałem się po dokładném rozpatrzeniu się w labiryncie szczytów. Deszcz począł kropić, lecz nie mogło mnie to spłoszyć i oderwać od zachwycającego widoku. Przewodnik gdzieś mi zniknął, po niejakim czasie wrócił z oznajmieniem, że znalazł kolibę dla ochrony od deszczu, gdyby się na ulewny zaniosło. Zbiegłszy ku wskazanemu głazowi usadowiłem się tak pod jego wyżłobieniem, że rzeczywiście można było chociaż plecy od wody ocalić.

Obok mnie przycupnął góral i tak we dwóch studjowaliśmy wschodnią stronę Wielkiéj Korzystéj, dolinę Waksmundzką dobrze ztąd widną, poza nią regle, a wśród nich polanę Rusinową; daléj zaś ku wschodowi zachodziły kończyny Wołoszyna i zasłaniały nam widok na spiskie już okolice. Tymczasem dészcz zmalał, żal mi tu było czasu tracić, więc wróciłem na Wołoszyn. Burza posunęła się ku Lodowemu Szczytowi, a ostre turnie Ganku, Rysów, Mięguszowskiego Szczytu, Gierlacha i innych gór rysowały się już na tle wolnego od chmur nieba. Zaprawdę wielkość natury tylko z podobnego miejsca, jak Krzyżne, da się godnie ocenić.

Opowiadano mi, jak raz na Krzyżne udało się towarzystwo z Krakowa złożone z różnéj płci i wieku pod przewodnictwem Jędrzeja Wali, najsłynniejszego przewodnika po naszéj stronie Tatr. Z niezmiernem wysileniem i prawie z płaczem wydrapały się panie na Krzyżne, gdzie oczarowane cudownością widoku z radości łzy roniły. Krzyżne oddawna było dla nich upragnieniem, nie dziw więc, że ziszczenie trudnego dla nich, jak w ogóle dla płci żeńskiéj zadania pobudziło je do tak żywéj radości.

Wala naturalnie wziął się do obznajomienia swoich gości z nazwami szczytów i dolin, lecz nauka szła nie łatwo, bo to tego niezmiernie dużo. Cztery razy powoli od lewéj do prawéj ręki kolejno przerecytował im wszystkie na około nazwy szczytów, wśród których wysokością i rozległością najwięcéj ztąd odznacza się Lodowy, i nakładać począł już sobie tytuń do fajki, gdy stary profesor, głowa towarzystwa, rzecze do niego: „Mój Walo, niechże ja raz w życia mojém wiem, który to Lodowy? Śmiech powstał, gdy się pokazało, jak skutkowała nauka Wali; odłożył więc na bok fajkę i tytuń i na nowo zabrał się do wykładu szczytów. Daje to pojęcie, jaki labirynt wierchów rozwija się tu przed oczyma podróżnego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skrzynka do listów.

Panu J. Łepkowskiemu w Krakowie: Zwracamy uwagę Szanownego Pana na zamieszczone w naszym Tygodniku (Nr. 8, str. 101) doniesienie ks. B. Antoniewicza — Równocześnie wysyłamy życzoną pracę Dr. Libelta.

Panu Cz. M. w Krakowie: Nadesłaną nam pracę zamieścimy; co się zaś tyczy osobnéj odbitki, zechciéj nas Pan zawiadomić o liczbie egzemplarzy.

Panu Ł... w Jasach. Wkrótce rozpocznie się druk Pańskiego artykułu. Dr. S... odbiera nasz Tygodnik. Rozprzedaliśmy sześć egzemplarzy; — z rozesłanych nic dotąd nie wpłynęło; — pomimo tego zastosujemy się do życzenia Sz. Pana co do przesyłki wrocławskiéj. —

Pani radczyni R... w Kempnie. Jakkolwiek tamtejszy urząd pocztowy powinien dostarczać wszystkich numerów, które tutejsza poczta regularnie odbiera, przesyłamy pierwszy zeszyt naszego pisma, którym Sz. Pani po odebraniu z poczty braknących numerów, zechce rozporządzić wedle własnego upodobania. —

Szan. Red Przeglądu Lwowskiego. Nie odebraliśmy dotąd czwartego poszytu.

Wszystkich autorów, księgarzy i nakładców uprasza się o nadsyłanie swych wydawnictw, gdyż tylko wtedy może Tygodnik podawać o nich wiadomość.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.